

FRONDA

GILBERT K.
CHESTERTON



człowiek, który był
czwartkiem

POWIEŚCI
Z KRZYŻYKIEM

**człowiek,
który
był czwartkiem**

W serii

POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM

dotychczas ukazały się:

Gilbert Keith Chesterton

KULA I KRZYŻ

Gilbert Keith Chesterton

CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM



W przygotowaniu:

Gilbert Keith Chesterton

PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA

Gilbert Keith Chesterton

**człowiek,
który
był czwartkiem**

FRONDA

Tytuł oryginału
THE MAN WHO WAS THURSDAY. A NIGHTMARE

Tłumaczenie
Maria Skibniewska

Copyright © 2008 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Redakcja
Paweł Skworoda

Projekt serii
Bartłomiej Kuźnicki

Grafika na okładce
Halina Kuźnicka

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer
www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-09-3

Wydawca
FRONDA PL Spółka z o. o.
ul. Jana Olbrachta 94
01-102 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
fax (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl

Druk i oprawa
Drukarnia GS Sp. z o.o.
ul. Zabłocie 43
30-701 Kraków

DO EDMUNDA CLERIHAW BENTLEYA*

*Chmura na duszach ludzkich ciężła żałosna,
Gdy nam obu dzieciństwa kwitła cicha wiosna.
Wiedza i Sztuka grzęzły w upadku topieli,
Świat się kończył, lecz myśmy beztrosko się śmieli.
Wokół występki płażał w kalekiej ohydzie,
Żądza śmiech swój zgasiła, strach trząsł się w bezwstydzie.
Jako obraz Whistlera, lśniący w ciemnej głuszy,
Ludzkość dumnie potrząsa biel swych pióropuszy.
Życie kłuło jak mucha, śmierć jak żądło trzmiela.
Świat był stary – my pełni młodego wesela.
Grzechy świata szkaradne jak otwarte rany,
Nam, dzieciom, się splatały w kształt jakiś nieznany.
Mali, głupi szaleńcy – nie zbrakło nam siły,
Gdy Baala czarne dłonie niebo nam zakryły.
Dziećmi byliśmy... Szaniec z piasku budowany,
Wąty jak my, wciąż słone zmiatały bałwany.
Pstry, głośny był nasz świątek. Gdy zamilkły dzwony,
Grzmiały wesołym echem nasze kapiszony.
Na naszych fortach z piasku flagi powiewały,
Gdy olbrzymy nad światem chmury rozciągały,
Wtedy książka przypadkiem w ręce nasze wpadła.
I bajeczne przed nami rozsunęła widziadła:*

* Wolny przekład Marii Doleżał

Rybokształtny Paumanok był dla nas jak żywy,
Zielony Goździk zwiądnął w ogniu jak cuda i dziwy...
Nagle, jak śpiew deszczowy szarego słowika,
Zabrzmiała pieśń Tusitala, co serce przenika,
Taka chłodna, jak w deszczu cichy świergot ptasi,
...Dunedin mówi do Samoa, a słońce cień gasi.
Młodzi wierzyliśmy, że Bóg czary złamie,
A Bóg i Republika idą ramię w ramię.
Gród Duszy ludzkiej zniknął jak senna utuda.
– Szczęśliwy, kto nie widział, a uwierzył w cuda.
Wspomnę spory o piekiel opróżnionej treści,
A ty jeden zrozumiesz sens mej opowieści:
Jako bóstw oszukańczych ród – nas ludzi gnębi,
A czarty, gasząc gwiazdy, spadają z ich głębi.
...Mieliśmy zwątpień strasznych moc, przy sporach wielu.
Któż je lepiej od ciebie pamięta, przyjacielu.
Rój nocnych zwątpień gaśnie przy gorących słowach,
Dzień był już na ulicy, nim zaświtał w głowach.
Dziś, dzięki Bogu, prawdę powiem ci bezpiecznie,
Gdyż siła w naszych duszach trwa, jak korzeń, wiecznie.
Dziś jesteśmy w przystani małżeństwa i wiary.
Ja – mogę pisać szczerze, ty – czytać, mój stary.

G. K. C.

Rozdział I

DWAJ POECI Z SAFFRON PARK

Przedmieście Saffron Park leży na zachód od Londynu, czerwone i postrzępione jak obłok wieczorny. Domy, wszystkie z jaskrawej cegły, są tu różnej wysokości i rozrzucone chaotycznie. Stworzył je w przypiływie natchnienia pewien przedsiębiorca budowlany o niejakich ambicjach artystycznych, który styl tutejszej architektury chrzcił niekiedy imieniem królowej Elżbiety, a niekiedy Anny, najwidoczniej w przekonaniu, że te dwie władczynie były jedną i tą samą osobą. Dzielnicę nie bez słuszności nazywano kolonią artystów, mimo że nie uprawiano tu nigdy jakiegokolwiek gałęzi sztuki. Jakkolwiek więc rozszczenia do godności ośrodka intelektualnego mogły wydawać się mało uzasadnione, nikt nie przeczył, że była to dzielnica bardzo przyjemna. Obcy przybysz na widok niezwykle czerwonnych domów mógł powziąć podejrzenie, że ich lokatorzy również odznaczają się dziwactwami. Poznając mieszkańców nie doznawał pod tym względem zawodu. Dzielnica była nie tylko miła, lecz wręcz doskonała, byle nie dopatrywać się w niej oszustwa, a widzieć raczej fantazję. Jeśli nawet mieszkańcy nie byli artystami, całość miała artystyczny charakter. Młodzieniec o kasztanowatych długich włosach i zuchwałej twarzy nie był może poetą, lecz z pewnością był poematem. Starszy pan z rozwichrzoną siwą brodą i w dziwnym białym kapeluszu – czcigodny blagier – nie był zapewne filozofem, ale przynajmniej pobudzał bliźnich do filozoficznych refleksji. Jegomość o tysej

jajowatej czaszce i nagiej szyi nie miał rzeczywistych praw do pozowania na uczonego, nie dokonał żadnego odkrycia w dziedzinie biologii. Czyż jednak sam nie był okazem biologicznym bardziej osobliwym niż wszystko, co mógłby odkryć? Właśnie tak, nie inaczej należało patrzeć na Saffron Park, traktując je nie jako warsztat pracy artystów, lecz jako dzieło sztuki, doskonałe mimo swej kruchości. Kto wchodził w atmosferę tutejszych stosunków, czuł się żywcem przeniesiony w świat komedii.

Urok nierealności występował tym wyraźniej o zmierzchu, gdy dziwaczne dachy ciemną sylwetą rysowały się w blaskach zachodu, a całe to zwariowane osiedle zdawało się odcięte od świata jak żeglujący po niebie obłok. Wrażenie to narzucało się nieodparcie zwłaszcza w dni lokalnych uroczystości, wówczas bowiem zwykle wieczorem oświetlano ogrody, a duże chińskie lampiony jaśniały w gałęziach karłowatych drzew niby olbrzymie, płomienne owoce. Szczególnie jednak działał czas owego wieczoru, który pozostał po dziś dzień w pamięci przedmieścia i którego bohaterem był miedzianowłosa poeta. Co prawda bywał on nierzadko bohaterem wieczoru. Przechodnie mijając jego ogródek często słyszeli wśród mroku donośny, pouczający głos, jakim swoje prawa dyktował ludzkości, a przede wszystkim – kobietom. Prawa kobiet w tym wypadku to jeden z miejscowych paradoksów. Należały w większości do gatunku tak zwanych emancypantek protestujących przeciwko męskiej przewadze. A jednak właśnie postępowe niewiasty zawsze zdobywały się wobec wieszczka na tę niepospolitą uprzejmość, której zwykłe kobiety stale odmawiają mężczyznom, mianowicie słuchały jego przemówień. A Lucjan Gregory wart był – w pewnym sensie – słuchania, chociażby po to, żeby go na zakończenie wyśmiać. W jego ustach stare frazesy o bezprawiu sztuki i o sztuce bezprawia tchnęły zuchwałą świeżością, co mogło przynajmniej chwilowo bawić słuchaczy. Przyczyniała się do tego również niemało oryginalna uroda poety,

który nie zaniedbywał podkreślania jej szczegółów. Ciemnorude włosy, przedzielone pośrodku, upodabniały go do kobiety, a zwiąjały się w luźne pukle jak u dziewic na płótnach prerafaelitów. W tej niemal świętej ramie ukazywała się jednak niespodziewanie szeroka i brutalna twarz, a wysunięta naprzód broda nadawała jej wzgardliwy wyraz typowego londyńczyka. Połączenie przeciwieństw od pierwszego rzutu oka drażniło i terroryzowało nerwy osób wrażliwych. Lucjan Gregory zdawał się wcieleniem bluźnierstwa, skrzyżowaniem anioła z małpą.

Gdyby nawet wieczór ów, o którym tu mowa, nie zapisał się niczym innym, pamiętano by go w Saffron Park ze względu na niezwykle zachód słońca. Wyglądało to jak koniec świata. Niebo całe zasnuły niby żywe, dotykalne pióra, firmament wypełniły skrzydła, niemal muskając twarze ludzi na ziemi. Większą część niebieskiej kopuły wyściętały pióra szare, pocięte smugami przedziwnych odcieni fioletowych i liliowych, a także niezwyklego różu i bladej zieleni; ku zachodowi wszystko to przeobrażało się w zjawisko, na które brak słów, przejrzyste i płomienne, najniższe zaś rozpalone do czerwoności pióra przesłaniały słońce, jak rzecz zbyt wspaniałą dla wzroku człowieka. Widok ten, rozpostarty tuż nad ziemią, wstrząsał tajemniczością. Tajemnica okrywała empirium. Wyrażała się w tym wzniosła małość, która stanowi duszę lokalnego patriotyzmu: nawet niebo zdawało się małe.

Zapewne więc niektórzy mieszkańcy przedmieścia zapamiętali przytłaczające niebo tego wieczoru. Inni natomiast zachowali ten dzień w pamięci dlatego, że wówczas pojawił się w Saffron Park drugi poeta. Dość długo rudowłosy rewolucjonista królował niepodzielnie; jednakże w pamiętny wieczór niezwyklego zachodu słońca niespodzianie skończyła się jego samotność. Nowy poeta, który przedstawił się jako Gabriel Syme, był śmiertelnikiem o łagodnym obliczu, miał jasną, przyciętą w klin brodę i bladożółte włosy. Wkrótce jednak przekonano się, że nie jest tak uległy,

jakby się z pozoru wydawało. Na wstępie bowiem poróżnił się z uznanym oficjalnie miejscowym poetą na temat istoty poezji. Oświadczył, że jest piewcą prawa i ładu. Co więcej, opowiadał się za szacunkiem dla konwenansów. Toteż mieszkańcy Saffron Park patrzyli na niego z takim zdumieniem, jakby spadł między nich z nieprawdopodobnych niebios tego wieczoru.

Lucjan Gregory, poeta-anarchista, dopatrzył się związku między tymi dwoma zjawiskami.

— Być może – powiedział wpadając niespodzianie w ton liryczny – że w ten wieczór chmur i okrutnych kolorów zjawilo się na ziemi takie dziwo, jak poeta konwencjonalny. Pan twierdzi, że jest poetą prawa. Ja na to odpowiem, że jest to zestawienie dwóch sprzeczności. Aż dziw, że nie było komety na niebie ani trzęsienia ziemi w ten wieczór, gdy pan zstąpił do naszego ogrodu.

Mężczyzna o łagodnych niebieskich oczach i jasnej spiczastej brodzie zniósł te gromy z jakąś uległą godnością. Trzeci świadek rozmowy, siostra Lucjana Gregory, Rozamunda, która miała warokcze rude jak włosy brata, lecz rysy łagodniejsze, roześmiała się na pół z podziwem, a na pół z naganą, tak bowiem zazwyczaj reagowała na słowa rodzinnej wyroczeni.

Gregory w oratorskiej weni mówił dalej.

— Artysta znaczy tyleż co anarchista! – wołał. – Można w tym zdaniu przestawiać słowa, jak chcecie, a pozostanie prawdziwe. Anarchista jest artystą. Człowiek, który rzuca bomby to artysta, albowiem przeżycia jednej wielkiej chwili stawia wyżej niż wszystko inne. Rozumie, że więcej wart jest krótki rozbłysk oślepiającego światła, jeden nagły grom niż pospolite ciała kilku bezimiennych policjantów. Artysta gardzi każdym rządem, obala wszystkie konwencje. Poeta lubuje się tylko w chaosie. Gdyby to nie było prawdą, najpoetyczniejszą rzeczą na świecie byłaby kolej podziemna.

— I tak właśnie jest – rzekł Gabriel Syme.

— Nonsens! – krzyknął Gregory, który przestrzegał ścisłości rozumowania, jeśli ktoś inny pozwalał sobie na paradoksy. – Cze-
muż to urzędnicy i robotnicy w kolei podziemnej zdają się za-
wsze smutni i znużeni, tak bardzo smutni i tak bardzo znużeni?
Zaraz wam to wytłumaczę: ponieważ wiedzą, że pociąg idzie wy-
tkniętym torem. Ponieważ wiedzą, że dojadą do tego miejsca, do
którego wykupili bilet. Ponieważ minąwszy Sloane Square mają
pewność, iż następnym przystankiem będzie Victoria, nic inne-
go, tylko właśnie Victoria. Ach, jaki zachwyt by ich ogarnął, jak
błysnęłyby niczym gwiazdy ich oczy, w jakim raju znalazłyby się
znowu ich dusze, gdyby następną stacją okazała się w sposób
niepojęty Baker Street!

— To pan nie rozumie poezji – odparł Syme. – Jeśli to, co pan
mówi o pasażerach kolei podziemnej, jest prawdą, to znaczy, że
są oni równie prozaiczni jak pańska poezja. Osiągnięcie wyzna-
czonego celu jest najosobliwszą, najbardziej niezwykłą przygodą.
Chybić jest najłatwiej, to rzecz najprymitywniejsza. Wzniosły jak
epopeja jest człowiek, gdy pierwszą strzałą z łuku trafia w locie
dalekiego ptaka. Czyż nie jest równie wspaniały, gdy ślepą maszyną
trafia w odległą stację? Chaos to nuda. Gdyby panował chaos,
pociąg mógłby rzeczywiście dojechać byle gdzie, na londyńską
Baker Street albo do Bagdadu. Lecz człowiek jest czarodziejem,
jego magia sprawia, że gdy wyrzeknie zaklęcie: „Victoria!” – zja-
wia się Victoria. Ach, nie chcę waszych książek, zadrukowanych
byle poezją czy prozą! Pozwólcie mi czytać rozkład jazdy, a będę
nad nim wylewał łzy dumy. Zatrzymajcie sobie waszego Byrona,
który uwiecznił porażki człowieka; wolę rozkład jazdy Bradsha-
wa, upamiętniający człowieka zwycięstwa. Ach, dajcie mi rozkład
jazdy!

— Pan się wybiera w podróż? – drwiąco spytał Gregory.

— Powiadam wam – ciągnął Syme w uniesieniu – że ilekroć
pociąg wpada na stację, przeżywam tryumf, jak gdyby przebił

się przez pierścień nieprzyjaciół pod ogniem baterii, jak gdyby człowiek wygrał bitwę z chaosem. Pan mówi z pogardą o tym, że ruszając z przystanku przy Sloane Square, nieuchronnie osiąga się następną stację Victoria. A ja twierdzę, że mogłoby się zdarzyć tysiąc innych rzeczy i zawsze, gdy pociąg dowiezie mnie do celu, wiem, że o mały włos a byłbym się tam nie dostał. A kiedy słyszę, że konduktor woła: „Victoria!” – nie jest to dla mnie okrzyk bez treści. To głos herolda obwieszczającego nowy podbój. W moim pojęciu to jest zaiste victoria, zwycięstwo Adama!

Gregory potrząsnął ciężką rudą głową i uśmiechnął się niewesoło.

– Lecz nawet wówczas – rzekł – my, poeci, zadajemy zawsze pytanie: „Czym jest Victoria, gdyśmy ją już osiągnęli?” Panu Victoria wydaje się Nową Jerozolimą. My natomiast wiemy, że Nowa Jerozolima nie jest niczym innym niż Victoria. Tak, poeta nawet w niebie nie znajdzie zadowolenia. Poeta to wieczny buntownik.

– A ja pytam – zawołał Syme z irytacją – co jest poetycznego w buncie? Równie dobrze można by utrzymywać, że poetyczna jest morska choroba. Bo choroba to także bunt. Oczywiście, w pewnych rozpaczliwych sytuacjach i bunt, i choroba stanowią zdrową reakcję. Ale dam się powiesić, jeśli rozumiem, dlaczego pan dopatruje się w nich poezji. Bunt sam w sobie to rzecz odrażająca. Nic innego niż rzyganie.

Dziewczyna wzdygnęła się na to przykre słowo, lecz Syme nazbyt się gorączkował sporem, by oszczędzać jej uszy.

– Poetyczny jest właśnie normalny bieg rzeczy! – krzyknął. – Na przykład system trawienny funkcjonujący cicho i sprawnie, zgodnie ze swym przeznaczeniem – to podstawa wszelkiej poezji. Tak, najpoetyczniejszym zjawiskiem, bardziej poetycznym niż kwiaty, bardziej niż gwiazdy, najpoetyczniejszym zjawiskiem świata jest człowiek, który nie wymiotuje!

— Doprawdy – rzekł tonem wyższości Gregory – pański dobór przykłałów...

— Przepraszam – odparł Syme nieubłaganie – zapomniałem, że obaliliśmy wszelkie konwenanse.

Po raz pierwszy na czole Lucjana Gregory wystąpiła czerwona plama.

— Nie oczekuje pan chyba ode mnie – powiedział – abym rewolucjonizował społeczeństwo tu, na tym trawniku?

Syme popatrzył mu prosto w oczy i uśmiechnął się ze słodyczą:

— Nie oczekuję – powiedział – ale gdyby pan traktował anarchizm poważnie, tak właśnie by pan postąpił.

Duże, wypukłe jak u byka oczy Lucjana błysnęły nagle niby ślepiea gniewnego lwa, zdawało się nieomal, że ruda grzywa jeży mu się na głowie.

— A więc pan nie wierzy – spytał groźnym głosem – że ja poważnie traktuję swoje anarchistyczne przekonania?

— Słucham pana?

— Pan twierdzi, że ja nie traktuję anarchii serio, tak? – krzyknął Gregory zaciskając pięści.

— Och, drogi panie! – rzekł Syme i oddalił się spokojnie.

Ze zdziwieniem, a zarazem ze szczególną przyjemnością zauważył, że Rozamunda Gregory idzie obok niego.

— Proszę pana – zagadnęła – czy ludzie rozprawiający tak jak pan i mój brat przed chwilą, naprawdę myślą to, co mówią? Czy pan naprawdę myśli to, co pan mówi?

Syme uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem:

— A pani?

— Co ja? – spytała dziewczyna z powagą w oczach.

— Proszę pani – łagodnie powiedział Syme – jest wiele różnych odmian szczerości i nieszczerości. Kiedy ktoś poda pani solniczkę, a pani powie: „dziękuję” – czy rzeczywiście odczuwa pani wdzięczność? Nie. Mówi pani prawdę, lecz nie myśli pani tego

serio. A kiedy pani powie: „świat jest kulisty” – czy pani naprawdę o tym myśli? Nie, chociaż to jest prawda. Czasem jednak człowiek pokroju pani brata odkrywa coś, co naprawdę myśli. Może to być tylko pół, ćwierć, jedna dziesiąta prawdy, lecz on wówczas mówi o wiele więcej niż myśli – po prostu dlatego, że jednak tak myśli.

Przyglądała mu się spod ściągniętych brwi. Twarz miała poważną i szczerą, w tej chwili zachmurzoną poczuciem tej podświadomej odpowiedzialności, która tkwi w głębi duszy każdej, nawet najbardziej lekkomyślnej kobiety: macierzyńskiej troski, starej jak sam świat.

— A więc Lucjan jest naprawdę anarchistą? – spytała.

— Jedynie w tym sensie... albo, jeśli pani woli, nonsense, o jakim mówił – odparł Syme.

Marszcząc bujne brwi powiedziała porywczo:

— Chyba nie zdecydowałby się na rzucanie bomb czy na inne tego rodzaju okropności?

Syme wybuchnął śmiechem tak głośnym i rubasznym, że aż rażącym w zestawieniu z jego szczupłą i trochę wymuskaną postacią.

— Na Boga, nie! — powiedział. — Przecież te rzeczy trzeba robić anonimowo!

Na te słowa kąciki ust dziewczyny podniosły się w uśmiechu, gdyż pomyślała z podwójnym zadowoleniem, że Lucjan jest zabawny i że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Syme doszedł z nią do ławki w kącie ogrodu, nie przestając wykładać swych poglądów. Był bowiem człowiekiem szczerym i na przekór pozorom, jakie sobie nadawał – skromnym. Właśnie skromni ludzie mówią często za wiele. Zarozumialcy zawsze pilnie czuwają nad sobą. Syme zatem namiętnie i przesadnie bronił zasad przyzwoitości, unosił się w pochwałach ładu i prostoty. Mówił i mówił, a dokoła pachniały bzy. W pewnej chwili do uszu jego dobiegły z odległej ulicy dźwięki katarynki i wydało mu się, że ta nikła muzyka, pły-

nąca jakby spod ziemi czy z zaświatów, wtóruje jego bohaterskim słowom.

Miał wrażenie, że ledwie od kilku minut mówi z tą dziewczyną o rudych włosach i uśmiechniętej twarzy, nagle jednak uprzytomnił sobie, że nie wypada tak odosobniać się w towarzystwie, więc szybko wstał z ławki. Ku swemu zdumieniu spostrzegł, że ogród jest pusty. Inni goście rozeszli się już dawno temu. Pożegnał więc dziewczynę co prędzej, mrużąc jakieś usprawiedliwienie. Wyszedł z szumem w głowie, jak po szampanie, lecz nie umiał później tego uczucia wytłumaczyć. W burzliwych wypadkach, jakie miały nastąpić, rudowłosa dziewczyna nie odegrała żadnej roli. Syme spotkał ją ponownie dopiero wówczas, gdy wszystko się skończyło. A jednak w jakiś niepojęty sposób towarzyszyła mu, niby powtarzający się motyw muzyczny, w całej obłądnej przygodzie, a blask jej dziwnych włosów lśnił jak czerwona nić w splątanym wątku ponurego gobelinu, który rozsnął się przed nim tej nocy. To, co się potem wydarzyło, było tak nieprawdopodobne, że równie dobrze mogło być tylko snem.

Ulica pod rozgwieżdżonym niebem wydała mu się w pierwszej chwili zupełnie pusta. Zaraz jednak uświadomił sobie, sam nie wiedząc jakim sposobem, że otaczająca go cisza nie jest martwa, lecz pulsuje żywą obecnością. Tuż przed furtką stała uliczna latarnia, a jej światło ozłacało liście drzewa, wyrastającego ponad ogrodzenie parku. O pół kroku od latarni majaczyła sylwetka, nieomal równie jak słup sztywna i nieruchoma. Mężczyzna w cylindrze i czarnym surducie ukazywał w ciemnościach twarz prawie czarną; tylko grzywa włosów płomiennych w blasku latarni i wyzywająca postawa pozwalały odgadnąć, że to poeta Gregory. Wyglądał trochę jak zamaskowany skrytobójca, czyhający na wroga z bronią w ręku. Na widok Syme'a zrobił niewyraźny gest, który mógł uchodzić za ukłon. Syme odpowiedział bardziej konwencjonalnym ukłonem.

– Czekałem na pana – rzekł Gregory. – Czy zechce pan ze mną chwilę porozmawiać?

– Oczywiście. Ale o czym? – spytał Syme tonem lekkiego zdziwienia.

Gregory uderzył laską najpierw o słup latarni, potem o pień drzewa.

– O tym i o tym! – krzyknął. – O porządku i o anarchii. Oto pański szacowny porządek: ta sucha, żelazna latarnia, szpetna i jałowa. A oto anarchia: bogata, żywa i płodna! Oto anarchia, wspaniała w zieleni i złocie.

– A jednak – cierpliwie odparł Syme – w tej chwili może pan oglądać drzewo tylko dzięki światłu latarni. Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek ujrzy pan latarnię w blasku drzewa. – Umilkł i po chwili dopiero dodał: – Jeśli wolno zapytać, czy pan stał tu w ciemnościach jedynie po to, by na nowo podjąć ze mną ten spór?

– Nie! – krzyknął Gregory tak donośnie, że głos jego rozbrzmiał w całej ulicy. – Czekałem na pana nie po to, by podjąć ten spór, lecz by go raz na zawsze zakończyć.

Znowu zapadła cisza, a Syme, chociaż nic z tego nie rozumiał, instynktownie nadstawił ucha, spodziewając się jakichś rozstrzygających słów. Gregory zaczął mówić łagodniejszym tonem, z niepokojącym uśmiechem na ustach:

– Dzisiejszego wieczora osiągnął pan niezwykły efekt. Udało się panu coś, czego nie dokonał dotychczas żaden śmiertelnik na świecie.

– Czyż to możliwe?

– Ach, rzeczywiście, przypominam sobie – w zamyśleniu ciągnął Gregory. – Pewnemu człowiekowi już się to kiedyś również udało. Był to – jeśli mnie pamięć nie myli – kapitan statku spacerowego w Southend. Pan mnie dzisiaj zirytował!

– Bardzo mi przykro – odparł z powagą Syme.

— Niestety, zarówno mój gniew, jak i wyrządzona mi zniewaga są zbyt wielkie, aby je można było skwitować tą formułką – spokojnie odpowiedział Gregory. – Pojedynek też nie wyrównałby rachunku między nami. Nawet gdybym pana zabił, nie zmazałbym tej plamy. Jest tylko jeden sposób wykreślenia tej obelgi z pamięci, i tego sposobu postanowiłem użyć. Choćby z narażeniem życia i honoru dowiodę, że pan się mylił mówiąc te słowa.

— Jakie słowa?

— Powiedział pan, że ja nie traktuję swego anarchizmu poważnie.

— Są rozmaite stopnie powagi – odparł Syme. – Nie wątpiłem ani przez chwilę o pańskiej szczerości w tym znaczeniu, że pan z pewnością uważa swoje poglądy za godne głoszenia; zapewne sądzi pan, że paradoks może przypomnieć ludziom lekceważoną prawdę.

Gregory patrzył na Syme'a uporczywie i z urazą.

— A w innym znaczeniu – spytał – nie uznaje pan moich przekonań za poważne? Pan mnie ma za szlifibruka, który od niechcienia rozsiewa po drodze prawdy. Nie wierzy pan, że jestem poważny w głębszym, groźniejszym sensie.

Syme gwałtownie stuknął laską o bruk.

— Poważny! – krzyknął. – Na Boga! Czy ta ulica jest poważna? Czy poważne są te głupie chińskie lampiony? Czy jest poważny ten cały bałagan? Przychodzimy, gadamy dużo od rzeczy, a niekiedy trochę do rzeczy, lecz nie szacowałbym wysoko człowieka, który by nie miał w swym życiu jakiegoś zaplecza, czegoś poważniejszego od całej tej gadaniny, czegoś naprawdę poważnego, jak religia lub chociażby pijaństwo.

— Dobrze – powiedział Gregory, a twarz mu spochmurniała. – Zobacz pan rzecz poważniejszą zarówno od religii, jak i od pijaństwa.

Syme z miną jak zwykle łagodną czekał na dalszy ciąg.

— Wspomniał pan przed chwilą o religii. Czy pan jest rzeczywiście religijny?

— Och! – rzekł Syme z promiennym uśmiechem. – Wszyscy teraz jesteśmy katolikami.

— Czy mogę wobec tego poprosić, aby pan przysiągł na bóstwa czy inne świętości pańskiej religii, że nie wyjawisz pan żywej duszy w ogóle, a policji w szczególności, nic z tego, co teraz powiem? Czy zechce pan przysiąc? Jeżeli pan zgodzi się ponieść taką ofiarę i obciąży swoją duszę brzemieniem obietnicy, której nie powinien pan składać, oraz wiedzą o rzeczach, o których nie powinien pan nawet śnić – przyrzeknę panu w zamian...

— Co mi pan przyrzeknie? – spytał Syme, gdy tamten urwał w pół zdania.

— Przyrzeknę panu bardzo interesujący wieczór.

Syme niespodzianie zdjął kapelusz.

— Pańska propozycja jest tak niedorzeczna – powiedział – że nie mogę się jej oprzeć. Twierdził pan, że każdy poeta jest anarchi-
stą. Nie zgadzam się z tym, ale mam nadzieję, że każdy poeta jest
dobrym graczem. Przysięgnę więc jako chrześcijanin i obiecuję
jako kolega i podobnie jak pan artysta, że o niczym, cokolwiek
mi pan wyjawisz, nie doniosę policji. A teraz, na Colneya Hatcha!
Niechże pan mówi!

— Przede wszystkim – rzekł Gregory pomijając to wezwanie
– wsiądziemy do dorożki.

Gwizdnął przeciągle dwa razy i natychmiast w ulicy zaturkotał
dwukołowy powozik. Wsiedli w milczeniu. Gregory podał doroż-
karzowi adres podrzędnej szynki na wybrzeżu po stronie Chis-
wick. Dorożka potoczyła się drogą, i tak dwóch fantastów opuści-
ło fantastyczne miasteczko.